

GERARD GÓRNICKI**Portret kota**

opowiadanie

Marek biegł przed siebie na oślep, po wertepach, na przełaj, przez kałuże pozostałe po deszczu. Przewracał się, wstawał i znowu biegł, w głąb lasu. Grudy błota oblepiały mu nogi. Nagle poczuł uderzenie podmuchem eksplozji pocisku - w plecy i w tył głowy, i zwałił się znowu w gliniasty rów. Padł zgięty, ze skulonymi ramionami.

Leżał twarzą do ziemi, przyciskając ręce do głowy, zdumiony, że nie zginął. Zakrztusił się dymem i piekącym zapachem siarki. Począł szukać wzrokiem bezpiecznego miejsca. Gdzież jest nieprzyjaciel? Zsunął z oczu kosmyk włosów, odwrócił głowę. Rozluźnił palce obejmujące rewolwer. Spostrzegł, że jest sam w lesie. Podniósł się z ziemi, zrobił parę kroków, zatrzymał się, pochylił i padł na kolana.

- To nic.

Obmacał dłonią kolano prawej nogi. Począł czołgać się wolno na skraj lasu. Gdzieś daleko wstrząsnęła niebem seria z karabinu maszynowego. Kończył się pochmurny dzień, jego mętne światło wsączało się między drzewa i padało na skrawek ziemi, po którym pełzał Marek. Z nadchodzącym zmrokiem wzmagало się w nim uczucie samotności. Rozglądał się, otworzył usta, jakby chciał z kimś wszcząć rozmowę. Myślał, że dowlecze się do oddziału, ale opadał z sił. Coś zaczęło drążyć go w środku, niczym głód.

„Chciałbym pogadać o tym z ojcem - pomyślał - możliwe, że zrozumie. Nie chciał iść do okopów, uciekał, ile razy się tylko udało”.

Marek począł drżeć na wspomnienie ochrypłego śmiechu ojca:

„Uciekałem, gdzie pieprz rośnie, nie chciałem iść na pierwszą linię przez sterty trupów, przegniłych, ruszających się od robactwa, o twarzach przezartych, o głowach czarnych jak smoła, ziejących smrodem. Uciekałem, ludzka rzecz. Nocami sanitariusze nosili trupy za linię frontu, w bezpieczne miejsce, gdzie majaczyły cmentarne krzyże...”

Marek począł wspinać się po pochyłości skarpy na brzeg drogi. Zdrową nogą szukał oparcia o wystające korzenie sosen. Zawisł w powietrzu, wargi i gardło

miał wyschnięte. Pot wystąpił mu na czoło... Ojciec wybierał najlepszą porę na opowiadanie swojej historii z I wojny. Podczas świąt przypinał order i siadał przy stole, nakrytym białym obrusem. Bał się śmierci, nie ukrywał tego. Tymi opowiadaniem odprawiał nad sobą sądny dzień, nie mógł sam siebie rozgrzeszyć. Widać nikt inny go też nie rozgrzeszył... Z dziecinną naiwnością wynalazł sprawiedliwe zadośćuczynienie:

„Kiedy kameraden byli w niebezpieczeństwie, nie nawiewałem. Rannych wynosiłem spod kul. Wrzeszczał na mnie podoficer: »Padnij, schowaj tyłek, bo Ruski zrobią z niego sito!« Nie mogłem zostawić rannych, nie mogłem inaczej... Generał austriacki, podobny do cesarza Franciszka Józefa z portretu, powiesił mi potem krzyż wojenny na piersi. Nawet za centa nie było w tym mojej zasługi. Uważali mój wyczyn za jakieś bohaterstwo... Postradali zupełnie rozum przez tę wojnę...”

- Wszarż byłeś, ojciec, nie bohater - Marek poruszył wargami. Ręce pokryły mu się sinymi pręgami. Sapiąc, zaczerpnął powietrza, ale starczyło mu na tyle, aby zerknąć na krawędź skarpy. Ciężar głowy rzucił nim o brzeg. Runął w głąb gliniastego parowu. W oczy i usta chlusnęła mu woda kałuży. Wypluł ją na brzuch. - Niech się ojciec odzepi ode mnie, bo nie wyleżę do samej śmierci na ten garbaty brzeg - charczał, starając się uwolnić od gęstej bajury. Miał na sobie niemiecki pas *Gott mit uns*, cywilne ubranie, na głowie granatowy beret z czasów gimnazjalnych. Siadł na ziemi i wsparł się plecami o skarpe. Woda ciekła mu po policzkach. Palcami dotknął ko-lana. Było twarde, gorące.

- Puchnie.

Był sam w gęstym lesie. Chciał zawołać na swoich, ale wydało mu się to nierozsądne. Obiema dłońmi objął kolano i mamroczać kołysał nim, aby uciszyć palący ból. Drgały mu wargi.

„Trzydzieści miesięcy trwała kanonada... Nawałnica nie ustawała, ogień artyleryjski od rana do wieczora, od zmierzchu do świtu, zagrzebywał nas w ziemi, coraz głębiej, po ko-lana, po szyję, po czubki włosów. Po małym skrawku świata czołgaliśmy się naprzód, by wracać na dawne pozycje, na pustkowia bez trawy, bez krzewów i drzew...”

Marek starł rękawem pot z twarzy. W ustach czuł smak gorączki. Rozgadał się ojciec, rozkleił. Nad uchem brzęczy jego głos.

- Dostyc tego, *ego te absolvo*. Byłeś bielszy niż śnieg. Spłodziłeś tylko kota... Mówiłeś:

„Koty same sobie dają radę...”

Suchy język kneblował usta. Wtedy za plecami, za skarpą, za ścianą sosen odezwało się wołanie. Marek wyprostował się, poczęły mu drgać policzki, brwi uniosły się w trójkąt ku górze. Przewalił się na lewy bok i wyciągnął z kieszeni bandaż. Podwinął nogawkę, rzucił okiem na sinoczerwone kolano i począł owijać je powoli i starannie. Spróbował podnieść się sam. Doszedł go - jakby zza drzwi - głos Romana:

- Wstawaj, stary, już po strachu.

Roman zeskoczył z brzegu i stanął obok Marka.

- Szwaby chcieli odegrać się za wystrzelanych rano w zasadzce żołnierzy Wehrmachtu. Przeprowadzamy się na drugi brzeg rzeki dziesięć kilometrów wyżej. Wstawaj!

- Nie mogę - odparł Marek.

Spotkali się wzrokiem. W szparach zwięzionych oczu Romana schowały się wesole ogniki jego źrenic. Dotknął ręką czoła Marka.

- Jesteś chory - powiedział. - Odpocznij sobie.

- Odpoczywam - rzekł Marek. Patrzył prosto przed siebie.

Roman wyjął z chlebaka tabletki, odpiął od pasa manierkę

- Weź to i popij winem!

- Myślisz, że to pomoże?

- Pomoże. Pij!

Roman siadł naprzeciwko Marka i począł opowiadać o zaskoczeniu oddziału przez Niemców, ale od razu spostrzegł, że Marek tego nie słucha.

- Co ci jest, stary? Głowa cię boli?

- Jestem ranny.

- Nie gadaj głupstw. Przecież nawiałeś, kiedy...

- Patrz, założyłem opatrunek. - Marek podciągnął nogawkę. Drżał na całym ciele, był blady i ruszał się powoli, jak gdyby każdy ruch sprawiał mu wielki ból. - Nie ujdę dziesięciu kilometrów.

Zapadał mrok. Wzmagający się wiatr pokrywał las wilgocią.

Kiedy Roman wrócił i przyprowadził ze sobą Henryka, zastał Marka w tej samej pozycji, w jakiej go opuścił przed pół godziną. Marek wpatrywał się wciąż w brzeg skarpy.

- Nie masz się czym przejmować - rzekł

- Roman.

- Czym ja się przejmuję? Jak myślisz?

- Wstawaj - powiedział Roman.

- Nie ruszę się stąd.

- Dobrze. Zanim znajdziemy lekarza, przyjdzie gangrena. Zawołasz nas, aby odciąć ci nogę i nie będzie problemu.

- Jakiego problemu? - szepnął Marek.

- Żadnego. Po wojnie będziesz chodził po ulicach miast o kulach. Będą cię czcili.

- Bohater, dobra gratka - powiedział Henryk.

- Dajcie mi spokój.

- Nie sprzeczasz się - syknął Roman.

- Ja się nie sprzeczasz. Ty czegoś ode mnie chcesz.

- Chcemy cię stąd zabrać. Niemcy jutro tutaj przyjdą, głuptasie.

- Nie pozwalaj sobie na wyzwiska. Zostanę tutaj.

Marek umilkł, czuł ogromne zmęczenie. Nie mógł już uświadomić sobie, kiedy i jak wlaźł w to całe kłamstwo, zwątpił, czy w ogóle było to kłamstwo z któregoś tam boskiego przykazania. Leżał spokojnie. Wsunęli mu ręce pod pachy i dźwignęli bez wysiłku.

Zbudził się późno, w biały dzień. Potem wstał drugi rano, bardziej mglisty. Światło przesiało przez szpary starej stodoły, w której mieścił się obóz. Marek począł przypominać sobie rozmowę z Romanem i Henrykiem, a gdy odczuł znowu ten sam piekący ból w kolanie i zdrętwienie mięśni od leżenia w jednej pozycji na ziemi, pomyślał, że nie musi już żyć kłamstwem. To pewne, że był ranny. Świadomość ta przyszła mu nagle do głowy wielką falą spokoju. Odwrócił głowę w stronę okiennego otworu, za którym żołnierze prowadzili rozmowę. Spojrzał uważnie na twarz Romana, wchodzącego do stodoły:

- Jak się czujesz? - zapytał Roman.

- Lepiej. Rana przyschnie jak na psie.

- To dobrze. Obejdzie się bez sprowadzenia lekarza z miasta.

- I mnie się tak zdaje.

- Napijemy się wina. Przyniosę potem siana.

Nie możesz leżeć na gołej ziemi.

- Dobrze.

Marek nie odczuwał już tak silnego bólu w nodze, gdy razem pili mocne wino. Smakował czerwony napój, który uderzał mu do głowy, rozgrzewał pusty żołądek. Światło padało na jego twarz... A więc tak wygląda partyzant. Leży na zgniłej słomie, pozostawiony sam sobie i czeka. Orzeł albo reszka. Czekaj, bo może umrzeć albo przejdzie mu ból kolana i czkawka po winie,

wstanie w cuchnącym od potu ubraniu i pomaszeruje dalej... Ból potrafi znieść dzielnie jak każdy inny mężczyzna; ale nagle ten palący ból w kolanie niespodziewanie ustaje.

Uczuł w sobie pustkę. Zaprzagnął wyjść do żołnierzy, którzy rozmawiali w pobliżu i zapewne czyścili broń

Roman przyniósł naręcz siana i rzucił na ziemię. Zbliżył się do Marka i utkwiał w nim zmęczone, czerwone oczy.

„Nie rozmawiajmy. Proszę cię, Roman, nie rozmawiajmy - myślał Marek z przerażeniem. - Jestem naprawdę ranny. Nie pytaj o nic”.

- Głuptasie - rzekł Roman.

Marek leżał z szeroko otwartymi oczami. Powiedział:

- Nie tracę sił. Przeciwnie! - Jakby usprawiedliwiał się z tego zwykłego faktu, że żyje. Dźwignął się na łokciach i siadł pod ścianą. Kwadrat podziurawionego klepiska stodoły pokryty był zeschniętym błotem. Roman siadł w przeciwległym rogu i począł przyszywać do spodni guziki. Brakowało tylko arbitra, który wywołuje bokserów na środek ringu. Marek zamknął oczy, przechylił głowę do tyłu, zadzierając do góry brodę, jakby opierał się plecami o liny ringu po wygranej rundzie. Był dobrym bokserem. Nie mógł teraz zrobić paru przysiadów, pantoflami przejechać po kalafonii, obrócić się i wyjść na środek. Dotknąć się rękawicami z przeciwnikiem i wypuścić serii prawą prostą. Umiał walczyć. Pokrwawiona gęba przeciwnika rozdrażniała go, rąbał cepy w jego głowę, w korpus, lewa ręka chodziła mu jak automat. Popatrzył na spokojną twarz Romana, poczuł niechęć do niego i do wszystkich innych z oddziału, których nie mógł teraz postawić naprzeciwko siebie i bić, porozbijać im nosy do krwi, wpakować prawe proste w głowę, w żebra, w serce, tłuc lewym sierpem, prawym cepem, zepchnąć na liny, aż się zachwieją na nogach, zwiną się w kłębek i będą wyc...

- Gong - powiedział półgłosem.

- Gong? - Roman uniósł twarz.

- Wygrałem pierwszą rundę. Osłabłem trochę.

- Głuptasie, przecież jesteś chory.

- Jestem ranny.

- A rwiesz się na ring. Z kim chcesz się bić, ze mną?

- Z nim - rzekł Marek i pokazał głową na wchodzącego do stodoły.

- Słyszysz? - Roman odwrócił twarz ku Henrykowi. - Marek chce się z tobą boksować.

- Ze mną? - Henryk postawił karabin w kącie, potem starł błoto z butów wiechciem słomy. Ręce wytarł o spodnie. Stał nad leżącym Markiem. Trzymał chwilę na języku haust białej, ciągliwej śliny.

- Dezerter!

- Zamknij się, bydlaku —rzekł Marek.

- Uciekłeś na oczach całego oddziału, tylko ty jeden. Wstawaj zaraz, bo jak nie, to ci dam kopniaka w twoją...

Twarz Henryka napełniła się ponurą obcością. Wziął z ziemi manierkę. Wychylił ją do dna, aż mu w gardle zabulgotało i pustą rzucił na stertę siana. Wyszedł bez słowa.

- Wychłał wino - powiedział Marek. Pot skropił mu się na czole i ciepłą strużką spływał na brwi.

- Nie przejmuj się - rzekł Roman.

- Nie.

- Przyniosę ci coś do picia.

- Wody - Marek przeciągnął językiem po wargach. „Jestem chory. Muszę mieć gorączkę” - pomyślał. Czuł strzyknięcia w nodze i pęcznienie bandaża. Roman podał mu kubek z wodą i rzekł:

- Spróbuj usnąć.

Marek skinął głową. Cierpienie, które teraz mu dokuczało, nie było tak łatwe do zniesienia jak ból nogi. Nie mógł mówić, a chciał wytłumaczyć Romanowi, dowódcy oddziału i wszystkim całą prawdę. Siedzieli na zboczu góry w parowie i czekali na nadejście nocy, aby bezpiecznie odejść na zachód. Zziębnięty poszedł załatwić się - jak kot - do opuszczonej chałupy, stojącej na uboczu wsi. Wtedy posypały się strzały...

Usiłował teraz leżeć spokojnie, wyznaczyć punkt przecięcia się linii motywów tego, co uczynił. Nie odczuwał wtedy pragnienia ucieczki. Wszystko stało się w jednej mikroskopijnej chwili. Chodziło mu zapewne o to, aby żyć. Nie było to zbawienie samego siebie chytryością... Był tylko małym, wyłysiałym kotem...

Chciał się przekręcić na brzuch. Zabolało. Przez bandaż przesączył się sinożółty płyn. „Koniecznie muszę zobaczyć kolano - pomyślał. - Chcę wiedzieć, jaką mam szansę. Jako żołnierz i jako człowiek”.

- Muszę teraz wyjść - rzekł niecierpliwie. W otwarte usta chwytał chłodne powietrze. Brunatna, śmierdząca plama rozlała się na całą szerokość opatrunku. Zrobił parę kroków, oparł się rękami o framugę drzwi. Pod gruszą stał w dwuszeregu oddział w pełnym rynsztunku.

Marek nie odszukał twarzy Romana. Spostrzegł, że wszyscy przyglądają mu się spokojnie, zło-wrogo. „Za co?” - pomyślał.

- Wstąp do szeregu! - rozkazał dowódca.

Marek zaprzeczył ruchem głowy. Po chwili rzekł:

- Możecie mnie rozstrzelać. Jak tego chłopca, który przed tygodniem uciekł z oddziału do domu.

Marek wyczekiwał na świt. Roman spał obok jak zabity. Wszystko dookoła ogarnięte było ciemnością i ciszą. Oddech Romana należał też do tej świerzbującej ciszy. Rana jakby się goiła, ustawał ból.

Marek przypomniał sobie słowa Romana: „Sen jest moją starą i bardzo mądrą religią, nie jest bezsensem jak wiele innych rzeczy”. Sen nie jest bezsensem jak myśl o bezsensie śmierci, o przypadkowym, niepotrzebnym cierpieniu... Noc wydała się Markowi naprawdę długa, wiedział, że nad ranem po ziej nocy zawsze się zasypiało.

Nad okolicą wznosiły się gęste mgły. „Nikt nie pilnuje samotnej stodoły bez drzwi...nic nie skrzypi... - śnił. - Dookoła legowiska migają senne marzenia o rozmaitych kształtach, jest ich tyle, ile ziaren piasku na wybrzeżu morskim... Ktoś się uśmiecha, trzyma czerwone kwiaty maku. Są tu ostatnie krańce zachodu, promienie świtu nie docierają do tej jaskini...”

Nagle rozległ się głos Romana:

- Nie kręć się, do jasnej cholery!

Roman naciągnął na głowę wojskowy płaszcz, broniąc się przed wzmagającym się chłodem.

Marek stłumił oddech i pomyślał, że oddział musi już być daleko, na drugim brzegu rzeki.

„Znów się trzęsę. Zaczyna się od nowa” - pomyślał. Nie było mu zimno. Od leżenia nie czuł już ramion ani nóg. Usiadł i wbił wzrok w otwarte wrota. Drżały mu nozdrza. Podniósł ręce do twarzy, był zlany potem. Koszula przykleiła mu się do ciała.

Zdawał sobie sprawę, iż nie będzie dla niego powrotu, że coś zabijał sam w sobie na zawsze. Wstał i podszedł do wrót stodoły. Noc zasłaniała świat. Zobaczył Mleczną Drogę, która smugą nikłego światła nie rozpraszała mroku nieba.

- Nie będę odważny.

Patrzył na gwiazdy, uparcie powtarzając:

- Głupi kot, głupi kot, głupi... głupi kot...

1959 r.